

MŁODZIEŻ A „GRA” ŻYCIOWA

1. Zwycięzcy i przegrani w grze z nieznanymi regułami

Kilka dni przed Bożym Narodzeniem ukazała się w gazetach wiadomość o dziewiętnastoletnim chłopcu (Luca Bonizzoni z Padwy), któremu — z powodu braku subordynacji, czy też zbyt gwałtownego zachowania na boisku — zabroniono grać w piłkę przez cały rok. Cały rok bez „meczy”, bez możliwości towarzyszenia swej drużynie, z którą był związany całym sercem. Wyobraźcie sobie, że popełnił on samobójstwo. Przed śmiercią napisał list, w którym informował: „Jestem człowiekiem przegrany i złamanym życiowo. W tym społeczeństwie nie ma miejsca dla takich, jak ja”

Zastanówmy się przez chwilę nad tym osądem, który ów chłopiec wydał o sobie w tak tragiczny sposób: „Jestem człowiekiem przegrany i złamanym życiowo”

Powiem wam, dlaczego te słowa wywarły na mnie silne wrażenie. Otóż w swym życiu poznałem wielu chłopców i odkryłem, że wielu z nich, wbrew pozorom, pod płaszczykiem ostentacyjnego „gwizdania sobie na wszystko”, mimo ujawniającej się na zewnątrz pewności siebie, czy też wręcz fanfaronady (typowej dla chłopców określonego wieku), wielu — powtarzam — jest takich, którzy obawiają się, iż są przegrani życiowo. Wierzcie mi, że jest ich o wiele więcej, niżby się mogło wydawać. Jest wielu chłopców, których w kryzysowych momentach nawiedza pokusa, by powtórzyć cstatnie słowa owego samobójcy. A jeśli nawet nie wypowiedzą ich głośno, ujawniają swe nastawienie jakimś wyborem zdesperowanym, bezsensownym, który niesie za sobą przykre następstwa, a czyn ich wskazuje na to, że ów sąd draży ich wewnątrz.

Lęk przed życiową przegraną jest szeroko rozpowszechniony, lecz rzeczą gorszą jest to, że nie da się dojść do rzeczywistych jego motywacji, nie jest się w stanie ich uchwycić, ani też jasno ich określić. Ów lęk pozostaje w gruncie rzeczy bez motywacji. Gdyby ktoś chciał wyjaśnić, dlaczego czuje się „przegrany”, nie umiałby tego uczynić, choć żywi w swym sercu takie właśnie przekonanie. Dlatego, skoro tak się rzeczy mają, ktoś może przegrać prawdziwie i na zawsze, dokonując jakiegoś błędnego czynu; może stracić *wszystko*, nawet samo życie, i to z zupełnie błędnego

powodu. Luca przegrał, ponieważ pozbawiono go gry na boisku. Nie było dla niego miejsca *na boisku*, a on wyprowadził z tego wniosek (ze zdumiewającym okrucieństwem autodestruktywnym), że nie ma dla niego miejsca *w całym społeczeństwie!*

Ktoś może czuć się „przegrany” — na przykład — po usłyszeniu „nie” od dziewczyny (czy też dziewczyna usłyszawszy to od chłopca), albo z powodu fizycznej wady, której nie jest już w stanie dalej akceptować, albo przez obsesję tycia (pomyślmy o dziewczętach, które niemal świadomie chorują na brak łaknienia; straszny stan, do którego prowadzą tak błahе powody), albo też z powodu konfliktów z rodzicami, niepowodzeń w szkole, braku pracy, czy też tysiąca innych rzeczy.

„Jestem człowiekiem przegrany”: jest to sąd szeroko rozpowszechniony, nieuchwytny, właściwie nie wyrażany słowami, który może jednak nagle wybuchnąć i wywołać tragedię z byle jakiej przyczyny.

W tym momencie chcę pomóc wam w refleksji nad tym zagadnieniem, usiłując czytać wewnątrz wydarzeń i uczuć. Rzeczą dziwną jest to, że żyjemy w społeczeństwie, które produkuje „przegranych” (i to bardzo wielu), choć zarazem nigdy *nie określa gry, w której się przegrywa lub zwycięża*. Daje ci do zrozumienia, że jesteś przegrany, czasem wręcz mówi to otwarcie, lecz o jaką grę chodzi? Gdybym znał tę grę, wiedziałbym także, jaki ruch prowadzi do mojej zguby i jakiego muszę w związku z tym unikać, bądź też jaki ruch pozwoli mi zwyciężyć. Kiedy gram w szachy, bilard lub karty, wiem, jakie posunięcie lub uderzenie może mnie doprowadzić do porażki lub do zwycięstwa. Także w przypadku zawodów atletycznych wiem, jaki poziom muszę osiągnąć i w jakich okolicznościach mogę być zdyskwalifikowany.

Jednakże w owej grze życiowej, prowadzonej na łonie naszego społeczeństwa, wielu deklaruje się przegranymi (do tego stopnia, że 19-letni chłopak może zdecydować się definitywnie zakończyć całą partię), a może się to stać po byle jakim ruchu, po niewiele znaczącym epizodzie.

Jest zatem tysiąc dróg prowadzących do przegranej; o jaką jednak grę chodzi?

Jest to straszliwa t a j e m n i c a naszego społeczeństwa (a używam tego słowa w sensie negatywnym, podobnie jak Pismo święte mówi o „tajemnicy nieprawości”), w którym wielu przegrywa, choć nigdy nie wiadomo, w jakiej grze.

Jeśli studiowaliście choć trochę literaturę, możecie rozpoznać tu typową sytuację, wielokrotnie opowiadaną przez Kafkę. W jego powieści *Proces* aresztuje się pewnego człowieka, lecz nie mówi

się mu, dlaczego. Wie on, że niechybnie zostanie skazany, lecz nie kieruje się przeciwko niemu żadnego oskarżenia, ani też — tym bardziej — nie ma on żadnej możliwości obrony. Jest winny, i to wystarcza. Jest człowiekiem „przegrany”, używając raz jeszcze słów owego biednego, młodego samobójcy.

Niekiedy chłopak (choć rzeczy te przydarzają się także dorosłym!) dochodzi do wniosku jeszcze bardziej radykalnego i stwierdza: „Jestem przegrany od urodzenia”. Czy rozumiecie, co to znaczy? Wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu, aby uczynić go „przegrany” w sposób niemal *konstytucjonalny*. Jak jedni mówią: „jestem ślepy, czy też jestem głuchy od urodzenia”, tak ten mówi: „jestem przegrany od urodzenia”. W obliczu jakiegoś negatywnego epizodu w życiu („poczułem się bardzo źle, gdy dowiedziałem się, że zostałem oskarżony” — napisał Luca w swym liście pożegnalnym) ktoś może wręcz osądzić, że jest „w samej swej istocie” nieudany! Może ocenić jako rzecz negatywną i szkodliwą samo swe istnienie na świecie!

Cóż to jest za społeczeństwo, w którym nie tylko można przegrać, lecz można się wręcz czuć „ze swej istoty” przegrany, chociaż nikt i nigdy nie nazwał po imieniu gry, w której się przegrywa lub zwycięża, choć nikt nigdy nie wyjaśnił do końca jej reguł i nie wie się, jakie są „duchy” decydujące o wszystkim.

Nie jest to zwykłe, powszechne użalanie się na społeczeństwo obciążane wszystkimi winami, których nikt nie chce wziąć na siebie. Nie, mam na myśli bardzo konkretne sytuacje. Mógłbym nawet nazwać po imieniu tych, którzy w swych momentach kryzysowych przychodzili do mnie, aby mi powiedzieć: „Moim problemem jest to, że jestem właśnie taki, nieudany, od urodzenia”. Oceniali oni tak siebie (w sposób zatrwajający), ponieważ wszyscy dorośli, z którymi oni żyją na co dzień, kazali im żyć, nie wyjaśniając reguł owej gry życiowej. Co więcej, nie wyjaśnili im, gdyż oni sami ich nie zrozumieli, albowiem także oni — dorośli! — dzielają ten sam lęk przed nieoczekiwanym wyeliminowaniem z gry.

Musimy dodać jeszcze jedną rzecz, która odnosi się przede wszystkim do tych dorosłych. W rzeczy samej bowiem owo społeczeństwo, które produkuje przegranych bez wyjaśniania im reguł gry, *w ten sam sposób produkuje też tak zwanych „zwycięzców”!* Mówiąc ściślej, migoczą przed naszymi oczyma różne „nagrody”, na podstawie których ktoś może uznać siebie za „zwycięzcę”, bądź też nawet za „zwycięzcę od urodzenia”. I pojawia się przekonanie, że życie zostało dane w tym celu, aby osiągnąć owe laury. Gra

zaczyna się już we wczesnym wieku, kiedy się jest jeszcze dzieckiem, i może trwać bardzo długo (nawet do końca życia).

Możemy wyliczyć niektóre „nagrody” przyciągające swym urokiem zarówno małych, jak i wielkich:

1) Osiągnięcie odpowiedniego „wyglądu” (*look*). Człowiek czuje się „zwycięzcą”, jeśli może się popisać swym modnym „wyglądem”, zależnie od wieku i środowiska: może to być określona pozycja, pewna prezentacja wobec innych, ubranie, którym możesz się pochwalić, komfort, na który możesz sobie pozwolić, rzeczy, co do których zdołasz przekonać innych, mówiąc krótko: sposób, którym zmuszasz innych do patrzenia na ciebie, czy też satysfakcja, którą odczuwasz, gdy inni na ciebie patrzą, albo ci zazdroszczą. Ktoś może więc uważać siebie za zwycięzcę lub przegranego w oparciu o to, czy się mu udaje, czy też nie, osiągnąć ów określony poziom „wyglądu”, który mu nieustannie ukazywano przed oczyma: to nasze społeczeństwo ogranicza się (pozwornie) do przypominania, z niezmordowanym uporem, obowiązku osiągnięcia przynajmniej pewnego standardu.

Można potwornie cierpieć nawet z powodu koszulki, której nie wolno sobie kupić, bądź też na myśl o jakimś sprzęcie, na który nie można sobie pozwolić: może znajduje się wśród was ktoś, kto w tych dniach czuł się jak człowiek przegrany tylko dlatego, że nie mógł popisać się tym upragnionym sprzętem narciarskim lub innymi rzeczami, bądź też ktoś, kto — wprost przeciwnie — mógł chodzić jak paw, mogąc je pokazać ostentacyjnie przed innymi.

2) Dobre scalenie z grupą: być nie tylko akceptowanym, lecz także zauważonym; osiągnąć przyznane mi „miejsce” w grupie, we wspólnocie, w środowisku — za wszelką cenę, niezależnie od tego, jak wiele to może kosztować. Nawet jeśli muszę nieustannie kłamać, aby inni wierzyli, że jestem tym, kim w rzeczywistości nie jestem. Młodzież przywiązuje do tych „nagród” szczególną wagę. Kiedy później wchodzi ona w świat dorosłych i lepiej z nim się scala, ów zewnętrzny „wygląd” musi być bardziej trwały, zespolenie z grupą bardziej wyselekcjonowane, a nagrody stają się bardziej znaczące: wydajność, kompetencja, profesjonalizm, sukces ekonomiczny i społeczny.

Za ową zewnętrzną pozą i w sposób bardziej brutalny „nagrody”, które rozdaje to społeczeństwo zarówno młodym, jak też starym, są związane z trzema rzeczywistościami: pieniądzem, seksem i zdrowiem. Wszakże również w tym przypadku sytuacja się nie zmienia. Nawet tak zwani „zwycięzcy” nie znają jasno reguł gry, chociaż otrzymują owe nagrody. Tym bardziej, że coraz

więcej jest tych, którzy są przekonani, że „przeegrali” (nawet całe życie), chociaż nagromadzili już wiele nagród.

Odradza się nieraz korzystać z niektórych czasopism (owych „rózowych” i nastawionych na rozdmuchiwanie skandali, jak również samej „czarnej kroniki”), ponieważ wzbudzają wstręt i obrzydzenie. Gdyby jednak nie wywoływały takich objawów, mogłyby dostarczyć nam najbardziej naukowej i codziennej dokumentacji o tym, jak wielu „chwilowych zwycięzców” doznaje na koniec okrutnej porażki. Kroniki z naszych dni pełne są eks-zwycięzców, wystawionych na publiczne pośmiewisko, choć trzeba wiedzieć, że niektórzy z nich „przegrywają” nie tylko sławę i honor, ale także zdrowie i życie. Także ci, gdyby mogli się skarżyć, powiedzieliby, że zostali oszukani, uczestnicząc w jakiejś nieznanej im grze.

Nawet wtedy, gdy wszystko idzie pomyślnie i gdy rozdaje się nagrody, wielu zauważa z przerażeniem, że podobnie przegrali w innych, i to jeszcze ważniejszych dziedzinach: na przykład na terytorium sensu życia, relacji międzyludzkich, równowagi psychicznej i duchowej, jak również samego szczęścia.

Są wreszcie tacy „urodzeni zwycięzcy”, którzy na koniec przegrywają jeszcze więcej niż „przegranii od urodzenia”

2. Gra serca

Rzeczą najważniejszą w życiu jest zatem znalezienie prawdziwej odpowiedzi na pytanie: „O jaką grę tu chodzi?” Kto może mi ją wytłumaczyć? Na jakiej podstawie mogę ocenić, czy jestem przegrany, czy też zwyciężyłem? Co pomoże mi zwyciężyć? Czy „zwycięski laur” jest realny, czy też jest tylko przeterminowanym towarem? Co chcę uczynić ze swego życia?

Nasza odpowiedź, na której chcemy oprzeć tę refleksję, jest bardzo prosta. Wszakże w oparciu o tę właśnie prostotę rzucamy wyzwanie:

W życiu prawdziwie się zwycięża lub przegrywa w grze serca.

Aby właściwie zrozumieć to zdanie, konieczne jest tylko jedno uściślenie: słowa „serce” nie należy tu pojmować na sposób sentymentalny, do którego jesteśmy przyzwyczajeni, lecz trzeba je brać w sensie biblijnym, który przyjmowali pierwsi chrześcijanie: „serce” oznacza „głębokości bytu”, gdzie człowiek rozstrzyga o swym istnieniu przed obliczem Bożym, skąd wypływa i dokąd powraca krew życia. Możemy zatem rzec, iż chodzi tu o wzniosłą grę, w której człowiek usiłuje odpowiedzieć na potrzeby swego serca.

Niektórzy starożytni pisarze chrześcijańscy mawiali: „O, człowieku, twoje serce jest małe, a przecież nawet morze nie jest w stanie go wypełnić”. Zaś św. Augustyn napisał: „Niespokojne jest serce ludzkie, dopóki nie spocznie w Tobie, Boże!”

Natura serca pozostaje ta sama zarówno u dziecka, jak też u młodzieńca, zarówno u dorosłego, jak też u starca. Daje ono znać o sobie zarówno wtedy, gdy całe życie jest jeszcze przed nami, jak też wówczas, gdy już niemal całe przeminęło: zawsze bije tak samo i ma te same wymogi.

Serce ludzkie jest otwarte na pełnię: na szczęście, na dobro, na prawdę, na piękno, na jedność, na miłość.

I oczekuje, że wszystko to spełni się w najwyższym stopniu, nigdy nie doznając pełnego zadowolenia, nigdy nie zaznając pokoju.

W dniach, kiedy w górach otwierają się przed oczyma zachwycające widoki, czyste od śniegu, który wszystko przykrywa i upiększa, każdy odczuwa w sobie jakieś drżenie, jakiś lekki dreszcz, gdyż staje przed czymś, co jest zbyt wielkie dla niego: to budzi się w nim jego serce!

Bywali w górach nieraz naukowcy, przyzwyczajeni do chłodu swych obliczeń i badań, którzy obserwując spadające płatki śniegu, obdarzone małą, a zarazem absolutną doskonałością, zaczęli płakać i mówili: „Boże, ja wierzę w Ciebie!”, albowiem w tym właśnie momencie, w obliczu piękna nieskazitelnego, choć ujętego we fragmencie małego płatka śniegu, poczuli w sobie wołanie serca pragnącego Stwórcy.

Kiedy po raz pierwszy naprawdę zachwycicie się jakimś stworzeniem (tak naprawdę, bez chęci panowania nad nim, ale też bez udawania), wasze serce natychmiast zacznie drżeć w obliczu pełni: zrodzi się wówczas pragnienie, aby „zawsze” być kochanym, aby „nigdy” nie być porzuconym, wraz z przekonaniem, że owa druga osoba jest dla was tym „wszystkim”, czego zawsze szukaliście.

Jest to drżenie w obliczu pełni, które serce natychmiast wyczuwa i zaczyna wołać. Jeśli jednak chłopak nie jest zdolny odczuwać tego, gdy patrzy na dziewczynę, o której mówi, że ją kocha, znaczy to, że ma chore serce: albowiem serce wydaje stałe sygnały w obliczu pełni. Rzecz ma się tak samo, gdy porusza je pragnienie dobra, nadzieja osiągnięcia szczęścia czy potrzeba sprawiedliwości.

Kiedy w czasie Medytacji Bożonarodzeniowej rozważaliśmy i oplataliśmy modlitwą ogromne cierpienie ludzi żyjących w Bośni, niewiarygodną podłość, którą potrafią okazać ludzie i całe społeczeństwa, oraz zło, którego może dopuścić się człowiek wobec

drugiego człowieka, nasze serce zaczęło wołać. Albowiem serce pragnie dobra, dobra pełnego, i nie jest w stanie zaakceptować ran, które ludzie sobie nawzajem zadają.

Innego dnia zastanawialiśmy się nad bardziej podstawowym doświadczeniem, które staje się naszym udziałem w tych dniach wakacyjnych: nad pragnieniem, aby „czuć się dobrze”, cieszyć się słońcem, przemierzonymi szlakami w górach, wiatrem smagającym twarz w czasie jazdy na nartach, radością, która ogarnia was, gdy jedziecie na sankach, łyżwach czy na rowerze.

„Czuć się dobrze”: jest to pierwsze, pokorne wyrażenie nieskończonej potrzeby serca. Właśnie dlatego kiedyś powiedziałem, że „raczej czułem się źle”, gdy ujrzałem narty porzucone na parkingu: „źle” z powodu okazanej przez kogoś bez troski; „źle” z powodu braku zainteresowania innych osób; „źle” z powodu małego oddania naszej wspólnej sprawie. Chociaż owa „sprawa” była raczej błaża, to przecież wychowanie serca zaczyna się, gdy nawet ze zwykłego — fizycznego lub psychicznego — „czucia się dobrze” bądź „czucia się źle” ktoś się uczy, na czym polega życie.

Ponieważ jesteście młodzi, chcę opowiedzieć wam w tym miejscu dwie bajki, które różnią się jednak od bajek opowiadanych małym dzieciom, są bowiem smutne. Bajki dla dzieci zawsze zawierają w sobie jakiś wielki ideał, wielkie dobro (jest nim na przykład księżniczka, którą należy obudzić, księżę, którego należy spotkać, skarb, który należy odnaleźć), a także wielkie niebezpieczeństwo lub wielka próba, którą należy przejść, a w końcu wielki dar, który pojawia się, aby przynieść pomoc z góry (wróżka, czarownik, itd.).

Bajki, które chcę wam opowiedzieć, budzą raczej niepokój, ponieważ zostały napisane dla dorosłych, aby wyjaśnić im, jak bardzo jest nieraz smutne i dramatyczne nasze życie. Wszakże również one opisują, przynajmniej na zasadzie kontrastu, jak mogłoby być ono piękne, gdybyśmy zrozumieli całą jego tajemnicę. Bez wątplenia, ukazują one dobrze, jak rozwija się owa „gra”, o której nieustannie mówimy.

Oscar Wilde napisał między innymi słynną powieść zatytułowaną: *Portret Doriana Graya* oraz krótkie opowiadanie: *Urodziny Infantki*.

W *Portrecie Doriana Graya* opowiada on o pewnym młodzieńcu, błyskotliwym, wykształconym i pełnym osobistego wdzięku, który otrzymuje ten przywilej, że może pozostawać wiecznie młodym, wiecznie czarującym, nietkniętym w swej doskonałości fizycznej i intelektualnej. Choć płyną lata, choć się on demoralizuje i dopuszcza się zła, a w jego ciele i duszy wszystko staje się ohyd-

ne i szpetne, cokolwiek by uczynił, nic — jak się zdaje — nie ma na niego wpływu. Jednakże ukrywa on starannie w swym mieszkaniu portret, na którym wszystko dokładnie się zapisuje. Podczas gdy on sam pozostaje młodym, jego wizerunek straszliwie się starzeje; i kiedy on sam zdaje się wciąż być czystym, szlachetnym i subtelnym, obraz ukazuje na sobie całą jego brzydotę fizyczną i moralną, całą jego złość, wszystkie deformacje duszy oraz najbardziej odrażające wady.

Autor powieści opisuje zdumienie i podziw wszystkich, przyjaciół i znajomych, powodowany owym cudem „wiecznej i nie-
tkniętej młodości”. Jednakże trwa to do chwili, gdy on sam, żywy cud, decyduje się pewnego dnia sprawdzić na obrazie swą prawdziwą naturę. Ujrzawszy przed sobą obrzydliwy wizerunek, nagle rozrywa go ze wstrętem jednym uderzeniem. Ale cios zadany płótnu okazuje się w rzeczywistości ciosem przeszywającym jego własne „ja”. Znajdują go więc martwego, niktzemnie zdeformowanego i szpetnego.

Czego chce nas nauczyć ta smutna przypowieść? Tego, że człowiek może pozornie zwyciężyć, że może nawet stać się żywym cudem sukcesu i młodości, lecz rzeczywistą partię rozgrywa na poziomie serca, tego, co dokonuje się „wewnątrz”, w ukryciu, tam, gdzie „mieszka” nasze prawdziwe „ja”. To, co istotnie dzieje się w tajemnicy serca, zostaje bezbłędnie utrwalone albo w całym jego zniewalającym i przyciągającym pięknie, albo też w przenikającej go na wskroś diabelskości.

Inna bajka jest też na swój sposób smutna i pełna wyzwania. Opowiada historię hiszpańskiej księżniczki (nosiła też ona tytuł „infantki”), której dworzanie chcieli złożyć piękny prezent imienninowy. Cóż jednak można podarować księżniczce, która ma już wszystko, ze wszystkich stron otrzymując hołdy i prezenty? Po długich poszukiwaniach dowiedzieli się wreszcie, że w pewnej wiosce żyje mały dziadek, który potrafi stroić różne miny, prawić pochlebstwa, czynić różne sztuczki. Jest to dziadek bardzo brzydki, ale za to niezwykle wesoły, tak że może się stać bardzo dobrym błaznem. Posyłają więc po dziadka, aby go podarować księżniczce. Ten wchodzi na dwór i zaczyna zabawiać księżniczkę oraz dworki z jej świty. Wszystkie one spędzają wesołe przedpołudnie wraz z dziadkiem, bawiąc się jego karykaturalnymi minami i dowcipami.

Nadchodzi jednak pora drzemki i wszystkie panienki idą na odpoczynek. Dziadek, zaciekawiony ogromnym pałacem, błąka się po komnatach, aż dociera do sali migocącej od luster. I oto tam po raz pierwszy w swym życiu nagle *ogląda* siebie samego: widzi

swe własne miny, swe małe i zniekształcone ciało, swoją brzydką twarz. W tej samej chwili, na myśl o uroczej piękności księżniczki i jej dworek, ogarnia go tak wielki ból, że pęka w nim serce. Kiedy po południu księżniczka schodzi na dół ze swą świtą, wszyscy zaczynają szukać dziadka, aby wznowić zabawę. W końcu znajdują go, leżącego niczym porzucony strzęp ciała u stóp lustra. Przybywa nadworny lekarz i oznajmia: małemu dziadkowi pękło serce.

Księżniczka dotyka wówczas nóżką ów strzęp ciała i mówi: „W przyszłym roku podarujcie mi na moje święto kogoś bez serca!”

Sądzę, że nie będzie dla nikogo rzeczą trudną zrozumieć znaczenie tej bajki zdumiewającej w swej wymowie i tak straszliwej. Biedny dziadek nic nie znaczył w życiu, mógł być tylko zabawką, lecz miał serce zdolne pęknąć z powodu utraconego piękna, serce, które potrafiło cierpieć, a to czyniło z niego prawdziwego człowieka. Księżniczka natomiast miała wszystko: bogactwo, piękno, niewyczerpane dary, lecz *nie miała serca...*

tłum. ks. Franciszek Mickiewicz SAC